RÓK DRUGI.

№ 36.

Warszawa

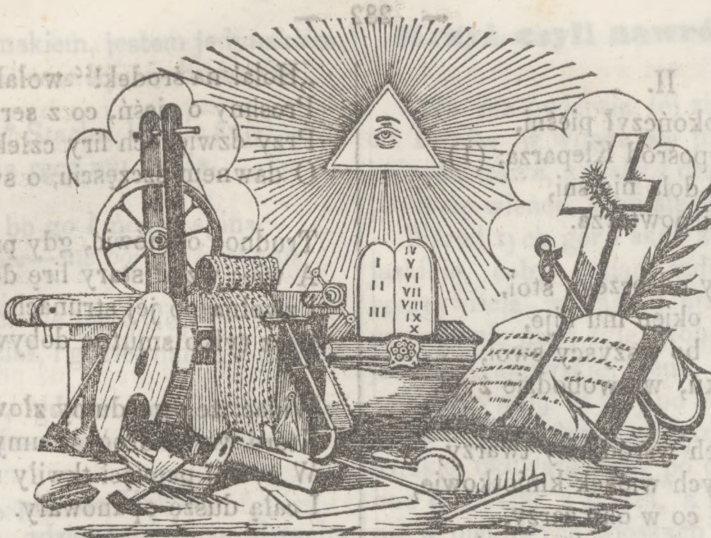
Dnia 25 Sierpnia

(6 Września)

1857.

Niedziela

13 po ŚWIĄT-
KACH.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr. 1527.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Jakże jest bezpiecznie dla zachowania łaski niebieskiéj, chronić się ludzkiéj okazałości, i nie tego pragnąć, co zduje się światowe zjednywać uwielbienie, lecz ubiegać się całą usilnością za tem, co poprawę życia przynosi. (O naśl. Chr K. 3 R. 45).

Lirnik w podróży.

(Ciąg dalszy patrz Nr. Czytelni 21).

Z Łobzowa do Krakowa.

—

I.

Gdy wyszedł Lirnik z wójtowskiéj chaty,
Już jasny księżyc pływał na niebie,
Lecz mając w ręku kij swój sękaty,
Puścił się z Bogiem, śmiało przed siebie.

W całéj naturze tak słodko, miło,
Jakby świat Boży się uweselił;
Czoło Lirnika wciąż chmurne było,
I on radości owéj nie dzielił.

Smutnym był stary, bo mu się zdało,
Że lud nasz dawnéj zrzekł się prostoty,
Że umysł, serce kształci zamało,
I że się zwolna wyzuwa z cnoty.

Och! gdybyś widział poczciwcze stary,
Jaki twe słowa sprawiły skutek,
Jak lud ten skorym był do ofiary,
Toby ci z czoła pierzchnął wnet smutek.

I serceby ci dumą zagrało,
Bo to, że mu się zdarzy pobłądzić,
To niebłądzących jakże dziś mało;
Więc go z pozoru nietrza źle sądzić.

Lud nasz bo zacnym jest i poczciwym,
Szczerym, gościnnym we własnym domu;
Ale że długo był nieszczęśliwym,
Więc dziś niełatwo zawierzy komu.

Ale mu wskazać poczciwą drogę,
Przemówić prawdą do jego duszy,
To, gdy ją pojmie, ręczyć wam mogę,
Że się szlachetna chęć w nim poruszy.

Tak idąc Lirnik, zatonął w dumie,
I łzę niejedną z oka uronił;
Może w przyszłości czytać on umie,
Albo też Bóg ją przed nim odsłonił.

Dość, że dochodząc do murów miasta,
Które swem światłem księżyc oblewał,
Wzniósł oczy w niebo, i gdy w nim wzrasta
Jakaś tęsknica, smutno zaśpiewał.

—

II.

I ledwie swojéj dokończył pieśni,
Kiedy się ujrzał wpośród Kleparza; (1)
Tu się nikomu zła dola nie śni,
Echo wesołe pieśni powtarza.

Tuż dom gościnny od brzega stoi,
A żywe światło z okien mu bije,
I gwarno w izbie, bo wszyscy swoi,
Lud, co w dostatku, w swobodzie żyje.

Pełno wieśniaczych wśród izby twarzy,
Widać, to z dalszych wiosek kmiotkowie,
Znać to po ogniu, co w oku żarzy,
Znać po ubraniu, po szorstkiéj mowie.

Lirnik gdy wstąpił w progi gospody,
„*Chrystus niech będzie*, rzekł, *pochwalony*;“
A każdy z kmieci, stary czy młody,
„*Na wieki wieków*,“ odrzekł schylony.

Więc Lirnikowi weseléj w duszy,
Widząc, że lud ten tak bogobojny
I niezepsuty; ztąd dobrze tuszy,
I chociaż w tłumie, jednak spokojny.

I nie hulacki, gdy czuje zdrowo,
I wpośród trunku jest przy rozumie;
Gdy Boskie tutaj rzeczone słowo
I wiek sędziwy poczcić on umie.

Więc gdy się stary przez tłum przecisnął,
Chcąc się przypatrzyć zdala zabawie,
Promień pociechy w sercu mu błysnął,
I zasiadł w kątku na twardéj ławie.

Ale gdy siadał, lira trącona
Głośnym się nagle ozwała dźwiękiem,
Jak kiedy boleść długo tajona,
Wybuchnie naraz serdecznym jękiem.

Wszyscy się w stronę dźwięku zwrócili,
„Kto tam chce zagrać,“ wołali młodzi,
„Niech się odezwie, rzekli po chwili,
„A dobrze mu się za to nagrodzi.“

(1) Od północnéj strony miasta leży przedmieście *Kleparz*, przez Kazimierza Wgo założone i osobnem miastem ustanowione, niegdyś nazywane *Florencyą*, od będącego tu kościoła Sgo Floryana.

„Hola! na środek!“ wołali starzy,
Prosimy o pieśń, co z serca płynie;
Przy dźwiękach liry człek rad zamarzy
O dawnem szczęściu, o swéj rodzinie...

Trudnoć odmówić, gdy prośba szczera,
A więc wziął stary lirę do ręki,
I zwolna po jéj strunach przebiera,
Lecz tylko smutne dobywa dźwięki.

Widać, że owe dumy złowieszcze,
Które wśród drogi w umyśle grały,
W żywéj pamięci tkwiły mu jeszcze,
I całą duszę opanowały.

Więc choć wesołéj pragnął piosenki,
Nie chcąc tych dobrych ludzi zasmucić,
Wciąż tylko rzewne dobywa dźwięki,
Wreszcie tak zaczął zebranym nucić:

—

Krakowiak.

W pięknéj okolicy, gdzie łany pszenicy,
Gdzie wzgórzyste pola, a żyzna w nich rola,

Gdzie łąki zielone, kwieciem ubarwione,
Pastwiska na milę, lasu drugie tyle,

Gdzie lud bogojny, poważny a strojny,
Jak kwiaty dziewczęta, w sercach miłość święta,

Gdzie gościnność stara, prosta w duszach wiara
I gdzie młodzież stała, odważna a śmiała;

Tam we wsi na wzgórku, stał młodzian w podwórku,
A przy nim dziewczyna, nadobna Halina.

Razem z sobą stali, za ręce trzymali,
Co ich nie rumieni, byli narzeczeni—

Patrzyli w około, a wszędzie wesoło,
A jednak dziewczynie łezka z oka płynie,

I rzecze strwożona: Stachu! kracze wrona,
Bierze mie lękanie.—*Nie bój się kochanie!*...

Słyszysz kwoczka pieje, serce mi truchleje,
Coś złego się stanie.—*Nie bój się kochanie!*...

Ach! boję się, boję, o nas biednych dwoje,
Mówią, że dziś branka, wzięli pono Janka.

Nie trwóż się złym znakiem, jestem jedynakiem,
Nic mi się nie stanie—*nie bój się kochanie!*...

Czego ten pies wyje? Stachu, ledwie żyję!
Drżąca i pobladła, na ręce mu padła.

Że tam wyje psina, bo go łańcuch spina,
Źle się ztąd nie stanie—*nie bój się kochanie.*

Matuli się śniło, że ciebie nie było,
Jakbyś się mgłą odział, i gdzieś nam się podział.

Co tam senna mara, gdy w sercu jest wiara,
Tak źle się nie stanie—*nie bój się kochanie!*...

Nie wyszła godzina, płakała Halina,
Bo jéj wzięli Stacha, gdzieś tam na szyldwacha.

Oboje płakali, kiedy się żegnali,
Bądź mi Halko zdrowa! ja idę do Lwowa!...

Słoneczko świeciło, w polu się rodziło,
Plenna była gleba, nie miał kto jeść chleba;

Pomarli matula i siostra Urszula,
Wreszcie ojciec stary, poszedł też na mary.

Halina została, ażeby płakała,
I w łzach, które toczy, wypłakała oczy.

Szkoda oczek, szkoda, taka jeszcze młoda,
Już Bożego świata nie ujrzy przez lata;

A Stasiek nieboże wrócić doń nie może,
Bo zimna mogiła oczy mu zakryła.

—

Pod koniec pieśni pobladły lica,
Głuchy szmer powstał między młodemi,
I łzą niejedna zaszła źrenica,
Nikt się nie ozwał, wszyscy jak niemi.

Starzy spuściwszy głowy, siedzieli,
Nietknięte stoją przed niemi miody;
Zda się, o wszystkiem się zapomnieli,
I w ciężkim smutku wyszli z gospody.

A biedny Lirnik tak stracił siły,
Że nie mógł ustać na nogach prawie,
Tak go wrażenia dzienne zmęczyły,
Więc się potoczył i legł na ławie.

Krzyż, czyli nawrócony Cygan.

—

Któż nie podziwia téj ziemi Krakowskiéj, co od Tatrów w wijące się pasma gór i skał, na których trawa, kwiaty i drzewa w różnobarwne plotą się wieńce, stroi się jakby królowa koroną?

Wśród tych gór i skał znajdują się obszerne jaskinie, coby tysiące ludu mogły pomieścić; i rzeczywiście w żadnéj stronie naszego kraju cyganie nie mają tyle swobodnego schronienia, jak na Krakowskiéj ziemi.

Przebywają w niéj po lat kilka i kilkanaście, zakładają po lasach warsztaty kowalskie i ślusarskie, okuwają wozy po dworach i robią zgrabne łańcuszki z żelaza, a przyjmowani gościnnie w niektórych wioskach jako wygnańcy ziem Bułgaryjskiéj i Mołdawskiej, należących do północnéj Turcyi, z chęcią osiedlają się na zawsze, stając się dobrymi gospodarzami lub rzemieślnikami.

Religii nie mają swéj wyłącznie, bo widziałem, jak swoje dzieci po chrzest święty jedni nieśli do kościoła katolickiego, drudzy do ewangelickiego, a trzeci do prawosławnego. Religia więc u nich zależy od miejsca.

Są to prawdziwi tułacze całego świata, wspominający czasem miasto Jassę, jakoby główną stolicę swoich krajów.

Jednak lud ten, gdyby go tylko można oczyścić z wielu wad, zręcznością swoją, łatwością pojęcia, nader byłby użytecznym.

* *
*

Było to w nocy sierpniowéj 1852 r.

Jasny księżyc osrebrzył zewsząd las bukowy, a na zielonych liściach drzewa skrzyła się rosa, jakby perły rozsiane.

Wpośród lasu rozciągała się zielona murawa, przepasana jakby modrą wstęgą rzek, Pilicą—ponad rzeką sterczały olbrzymie skały, a u stóp ich palił się ogień, przy którym siedziała dość liczna gromada cyganów, przyrządzając dla siebie pożywienie. Zdala od niéj z utkwionem spojrzeniem w skrzące się gwiazdami niebo spoczywał cygan około lat 24 mający; wzrost dobry, piękny wyraz twarzy, spojrzenie pełne ognia, malujące się dobrze w jego smętnych rysach, postawa rzeźka, okazująca siłę męzką i charakter odważny, zręczność zaś w rzemiośle kowalskiem, gra na skrzypcach i drumli, zapewniały mu zupełną swobodę, niezależność od

nikogo, i czyniły jakoby rządcą i przewodnikiem siedzącéj gromady, która we wszystkiem była mu posłuszną.

— Bracia! zawołał, północ już niedaleko, a jutro gdy słońce pozbiera z ziemi rosę, marsz w drogę; trzy lata pobytu w jednem miejscu to już zawiele.

— Zgoda! chórem odpowiedziała mu gromada, i weszła na spoczynek do jaskini będącéj między skałami— niezadługo nastąpiła zupełna cisza.

Dopiero po północy niebo okryło się w czarne chmury, powstał wicher roznosząc gwar po lesie—parno było w powietrzu, księżyc jak błądzący wędrowiec słaniając się między chmurami, całkiem gdzieś zniknął. Częste błyskawice wychylające się z poza chmur jakby spojrzenia aniołów ku ziemi, jak z jednéj strony łagodziły bojaźń samotności nocnéj, tak z drugiéj obudzały tęsknotę do lepszego życia w duszy człowieka.

Młody cygan spoglądając na ten podwójny obraz nocy, raz jasny, drugi raz ponury, zatęsknił za czemś nieznanem mu jeszcze, i mówił sam do siebie: po co ja żyję i co ja znaczę na świecie?— prawdę mi zawsze mawia ten mądry staruszek, co tu pilnuje tego lasu, że życie bez pracy ciągłéj, bez użyteczności dla ludzi, to tułactwo, to śmierć przedwczesna.

—

Od miasteczka Pilicy ku Olkuszowi szedł trakt bity przez cały las bukowy; opodal traktu stał dworek mały, a tak zewsząd czysty i biały, jak koszula na dzień świąteczny.

W dworku tym od lat już kilkunastu mieszkał gajowy, dawny żołnierz, będący w wielu krajach i bitwach, człowiek jak to mówią, do Boga i do ludzi; a choć wiek już siódmym krzyżykiem życie mu oznaczył, trzymał się jeszcze prosto jak dąb. Miał on wprawdzie cokolwiek uciułanego grosza z swéj wojaczki, podjął się jednak z chęcią obowiązku gajowego, aby pracą podtrzymywać zdrowie i siły, bo zwykł każdemu powtarzać, że praca we wszystko wzbogaca, a lenistwo wszystko utraca.

Pełniąc obowiązki swoje od rana do zmroku, spotykał często koczujących w lesie cyganów, zaznajomił się z nimi, i uważał ich za stałych mieszkańców, za swoich sąsiadów; pokochał więc młodego ich rządcę, i przemyśliwał nad tem, jakby go przynęcić do siebie, wyrwać z tego próżniactwa i zrobić użytecznym. Dlatego częste z nim odbywał pogawędki, a tak szczere i serdeczne, tak nauczające, że młody cygan lgnął do niego jak syn do ojca.

—

Gdy ogień już zagasł, gromada cyganów twardo zasypiała, a od wschodu zorza zaczęła płonąć, podążył młody cygan do białego dworku, i zastał gajowego już przy modlitwie. Krzyż czarny drewniany na stole, u podnóża jego dwie świece, a staruszek ze śnieżnym włosem jak pióro białego gołębia, klęczący z książką w ręku przedstawiał obraz zajmujący.

— No, dobry ojcze! zawołał, przestępując próg mieszkania, za kilka godzin maszerujemy w drogę, i to aż w Podlaskie, bo tam jest cały sztab, tam nasz jenerał; przyszedłem cię więc pożegnać, i prosić, abyś o życzliwym ci cyganie choć czasem wspomniał, bo może się i nie zobaczymy.

Staruszek wstał od modlitwy, wyciągnął ku cyganowi dłoń, a uścisnąwszy go bratersko, spojrzał mu w oczy i dostrzegł, jak łzy zrosiły mu powieki.

Korzystając staruszek z tego rozrzewnienia, tak przemówił:

—Słuchajno bracie, jestem sam na świecie— dworek, co ci się tak podobał, jest mój własny, ta łąka, na której biesiadujecie, jest moją; do tego jest znaczny łanek gruntu, ogródek, w którym zaszczepiłem sam drzewka owocowe; mam cokolwiek grosza, pozostań przy mnie. Jesteś młody, zdrów, umiesz rzemiosło, porzuć już to tułactwo, pracuj wraz ze mną, i kiedy śmierć zabębni dla mnie na apel, wyprawisz mnie przeciwko niéj, a wiem, że z téj bitwy już nie wrócę, to wszystko zostanie twoje; będziesz pracował dla ludzi i dla siebie i Wszechmocnego Boga chwalił, za wszystko mu dziękował i za moją duszą Go prosił.

— Wiesz ojcze, że pracować umiem i mogę, ale Boga chwalić, to już nie potrafię.

— W twoim wieku wszystkiego się nauczyć można. Spojrz, oto jest godło wiary—i wskazał mu na stojący krzyż; to jest prawdziwy przewodnik naszego życia, jest on największą księgą mądrości i wszystkiem dla człowieka na świecie.

—Być może, odpowiedział mu cygan, lecz

nie mając téj nauki, co ty mój ojcze, na téj księdze nic nie wyczytam.

— Do poznania téj drogiéj świętości, do przeczytania, co w sobie zawiera, niepotrzeba wiele nauki, potrzeba tylko szczerego serca, i zawsze czystéj wiary, a sama ci myśl podyktuje, co w niej napisano. Na szczerem sercu ci nie brak, i gdy ci wytłumaczę, co ten krzyż oznacza, jestem pewny, że pozostaniesz ze mną. Spocznij więc i słuchaj.

— Dobrze mój ojcze, jeszcze parę godzin mam czasu.

— Krzyż jest godłem wiary prawie całego świata, księgą mądrości we wszystkiem i dla wszystkich; patrz, ma on cztery ramiona — ponieważ ty z naturą wychowany jesteś, poprostu więc powiem ci, jak potrzeba czytać na tej książce:

— Wiosna, lato, jesień, zima, są to cztery ramiona krzyża. Wiosna jest na lewem ramieniu, bo w lewym boku jest serce człowieka, a serce młode, jest wiosną. Lato jest na najwyższém ramieniu; jest to myśl człowieka, która gdy lato jego życia przychodzi, powinna być tak pełną, jak kłos ziarnek w polu, kiedy sierpień nastaje. Jesień masz na prawem ramieniu krzyża, bo ku niemu skłonił już głowę Bóg i Zbawiciel całego świata, Jezus Chrystus, kiedy cierpiał za nas i śmierć poniósł—oddawszy wiosnę i lato życia dla zbawienia ludzkości, w jesieni spełniał już boskie posłannictwo. Zima jest to dolne ramię krzyża, dotykające się ziemi, jest to grób i spoczynek, do którego każdy wcześniéj czy późniéj dojść musi.

Niebo i gwiazdy, słońce i księżyc, są to cztery ramiona krzyża. Niebo uważaj w górnem ramieniu, bo ponad nami jest Bóg wszechmocny, Stwórca nieba i ziemi, król wszystkich ludzi, który za dobre i cnotliwe życie nagradza, a za nieuczciwe, jako sędzia sprawiedliwy nie przebacza; słońce i gwiazdy znajdziesz na niższych dwóch ramionach, bo one stroją niebo, świecą Bogu, i jak posłańcy Jego roznoszą życie po ziemi; księżyc jest u dołu najbliżéj nas, świeci nam nocą, ale już nas nie ożywia. Spojrz na wschód, na południe, na zachód, na północ, są to cztery ramiona krzyża.

Powietrze ogień, woda i ziemia, są to cztery ramiona krzyża.

Spojrz na twarz każdego człowieka, a znajdziesz wyobrażenie krzyża, bo nos oczy i czoło przedstawiają krzyż.

Staruszek gajowy wykładając w ten prosty sposób naukę i wiarę młodemu cyganowi, dostrzegał, że ten pojmował go we wszystkiem— wymienił 7 grzechów głównych, 4ry święte prawdy, i przykazania Boskie, a coraz więcej zapalając się w swéj nauce, był jak apostoł święty, w którego myśl, duch Boży zstępował.

Nauka nie była daremną; cygan całe serce i myśl wytężył dla jéj pojęcia. A kiedy staruszek otworzył ramiona, by go przytulić do serca jako syna, w tej chwili wschodzące słońce rzuciło blask przez okno do dworku. I starzec stanąwszy owiany promieniami światła, przedstawił z siebie najcudowniejszy krzyż — wtenczas młody cygan ukląkł przed nim, pochylił czoło z całą już wiarą i kornością, wołając:

— Ojcze! ujrzałem już na tobie ten cudowny krzyż; czuję, że twoja nauka jest świętą, wiara jasną, że w niej przewodnikiem jest krzyż, a Stwórcą, Opiekunem i Sędzią Bóg Wszechmocny.

Upłynęło lat wiele i wiele, a młody nasz cygan już dziś dobrze podstarzały, mieszka na trakcie od miasteczka Pilicy do Olkusza, w białym dworku, bukowym lesie — stał się dla sąsiednich wiosek i dla przejeżdżających osób pożądanym kowalem, nauczył się czytać i pisać, i każdemu opowiada, że krzyż wybawił go z ciemnoty; a kiedy gromada cyganów przybywa w jego strony, znając ich mowę, i idąc za przykładem zmarłego mu oddawna opiekuna, nakłania ich do pracy, do wiary i co rok prawie jednę duszę nauką swoją wydziera ciemnocie.

Kurpie.

Kurpie albo *Kurpiki* jest to lud polski, który zamieszkał od wieków na Mazowszu, w lasach pomiędzy rzekami Bugiem, Narwią, oraz wpadającemi do niéj Uzgierką pod Pułtuskiem, Biebrzą pod Wizną.

W miejscach tych były dawniéj ziemie: Ciechanowska, Rożańska, Łomżyńska, Wiska i Nurska.

W téj ostatniéj siedziby kurpiów przechodziły i na lewy brzeg Bugu, gdzie dziś Jadow i Sulejów.

Stolicą niejako ludu tego była Ostrołęka i Myszeniec, rzeczka zaś Omulew przerzynała środek ich siedziby.

Jestto lud piękny, dobry, pracowity, pełen męztwa i odwagi. Nazwisko *Kurpi* pozyskał od obuwia, kurpiem zwanego, które w rożnych okolicach nazywają *postołami*, *chodakami* i *łapciami*. Jest ono złipowéj kory, plecione i przewiązane na onuczy rzemyczkiem lub sznureczkiem.

Wedle podań historycznych, Piast nawet a potem Przemysław Czeski nosili takież ubranie. Ubiór kurpia stanowi koszula biała, mosiężnym guzikiem pod szyją spięta, spodnie białe sukienne, lub z płótna obcisło, na wzór góralskich robione, sukmanka koloru kałowego po kolana ścięta, kamizelka, na głowie kapelusik okrągły z małemi skrzydłami, a na nogach owe kurpie lipowe.

Lud ten w lesistych okolicach zamieszkały, zamuje się głównie bartnictwem i myśliwstwem. Za czasów króla Zygmunta III, Krzysztof Niszycki starosta ciechanowski i przasnyski przepisał dla kurpiów ustawy, któremi spory o barcie i pszczoły rozstrzygano.

Kurp' jest wytrwałym na wszelkie trudy, niedostatek, śmiały i odważny aż do lekceważenia życia, a każdy niemal jest wybornym strzelcem, np. z daleka trafia w główkę ćwieczka, albo jeden nadstawia rękę, a drugi strzela pomiędzy jego palce, inny znowu strzałem gasi świecę przylepioną do czoła kolegi.

W roku np. 1744 jeden kurpik cyfrę S. A. K. (Stanisław August król) o 400 kroków wysadził kulami.

Puszcza Nowogrodzka, dzisiejsze leśnictwo w kraiku kurpiów, dawniéj nazywała się *Puszczą zieloną*; przeznaczoną ona była przez książąt Mazowieckich, a następnie i królów polskich na miejsce wygnania z kraju. Jeszcze dziś żyją licznie rodziny tym sposobem tu osiadłe, które od najpierwszych familij ówczesnych kraju pochodzą np. Małachowscy, Poniatowscy, Ruszczycowie i t. p., i choć dziś ciało pokrywa gruba siermięga, w sercach ich znajdziesz wiele uczuć szlachetnych i wzniosłych, godnych najlepszego wychowania.

Jest dziś w krainie kurpików miejsce, w straży *Nowaruda*, ku granicy pruskiéj położone, *Turośl* nazwane.

W roku 1805 Michał Szaniawski, ówczesny leśniczy rządowy i wójt gminy wystawił tu kościołek, za co miał wielką miłość i poszanowanie u kurpiów. Kościołek ten wśród lasu, na wysokiéj górze wzniesiony, przedstawia piękny i zajmujący widok. Po śmierci owego fundatora kościołek w Turośli podupadł, a do podtrzymania go wiele przyczynili się kurpie, włościanie Małego-płocka, którzy w 1817 r. uzyskawszy od biskupa pozwolenie na filią parafii Kolno, ofiarowali dawać na utrzymanie kapłana złp. 195, 43 korcy i 1 ćwierć zboża, oraz siana 36 centnarów. Zbudowali przytem własnym kosztem plebanią, i dali ze swych gruntów ziemię na ogródki.

Przywiązaniem do rodzinnego kąta i walecznością swoją nieraz odznaczyli się kurpie w historyi kraju naszego.

W czasie wojen szwedzkich za Zygmunta II króla około r. 1605, nieprzyjaciel wojując Inflanty, przebrał się przez Prusy polskie, aż do *Puszczy Zielonéj*, i zaczął się przeprawiać przez most na rzeczce *Piśnie*, w kraiku Kurpiów płynącéj.

Kurpik jeden zaczaiwszy się we młynie, którego ślady jeszcze dziś lud pokazuje, celnym strzałem zabił dowódzcę Szwedzkiego; żołnierstwo podpaliło ów młyn, schronienie dzielnego kurpika, powstał pożar, wrzawa i ogólna bitwa. Kurpie mimo przemagającéj siły nieprzyjaciół, bronili się długo, aż nadciągnął z Inflant Jan Karol Chodkiewicz hetman wielki litewski, słynny wojownik, i za jego wsparciem, kurpie pod przewodnictwem *Korneckiego* zupełne zwycięztwo odnieśli, rozproszywszy Szweda.

Od wsi Kozła między wsią Kątami a Małym-płockiem, pokazują dziś jeszcze okopy w r. 1702 przez kurpiów usypane, gdzie wielu szwedów poległo. Jeszcze i dziś, wedle podania miejscowego, zdaje się, widują przy blasku księżyca, rycerza na białym koniu objeżdżającego te wały.

W r. 1705 Kurpiki 300 Szwedów broniących się na cmtenarzu w Ostrołęce, zdobyli szturmem.

W 1708 gdy Karol 12 król Szwedzki, ciągnąc z pod Torunia ku Grodnu, przybył do Myszeńca, Kurpie korzystając z błotnistéj posady, przez porobione w lasach zasieki, wały i rowy zatamowali temu wojownikowi przejście i warunki podali, za któremi mu drogę otworzą. Krol dumny odrzucił warunki, poszedł na przebój,

a nad złapanymi kurpiami mścił się okrutnie, rozkazując, aby jeden drugiego wieszał.

Rozjątrzeni tem kurpiki, zebrali się razem, uderzyli z wściekłością na najezdników, pobili, tak, że Karol 12 z jednym tylko drabantem zdołał uciec do Szczuczyna za Łomżę, do Szczuki podkanclerzego Litewskiego.

Jest nadto między kurpiami następujące podanie z owych czasów. W miejscu, gdzie dziś jest osada leśna *Zrębisko* nad rzeczką Turoślą, z Prus przypływającą leżąca, stał wtedy *zrąb*, czyli forteczka drewniana, którą stanowiła jedna ogromna sosna, mająca wewnątrz obszerną dziuplę, czyli próżnię ze zgnicia drzewa i rdzeni utworzoną. Otoż w tej forteczce usadził się, w czasie wojny z Karolem 12 jeden odważny i dzielny strzelec, i robił wycieczki z flintą na szwedów poza Turoślą obozem rozłożonych. Razu jednego w takiéj wycieczce położył trupem 2 szwedów, a sam schronił się do swéj forteczki. Żołnierze pobiegli za nim, zabrawszy z sobą dwóch psów, dla łatwiejszego wytropienia; psy rzuciły się na zrąb, gdzie się kurpik schronił, żołnierze rozgniewani odwołać ich usiłowali, a gdy psy zaciekle odejść nie chciały, żołnierze własnemi strzałami owe biedne stworzenia życia pozbawili, a kur'p tym sposobem ocalał.

W ogóle pochód szwedów przez *Puszczę zieloną* był trudny i mozolny; mężne kurpiki drogi stosami kamieni i drzewa barykadowali, a zza drzew ukryci celnemi strzały razili przechodzących. To też szwed pałał zemstą ku kurpiowi, którego *chłopem bez butów* nazywał, oni zaś wzajemnie nienawidzili szweda, najezdnika ich cichych siedzib, którego *czerwonym djabłem*, a króla ich *żelazną głową* przezywali.

I za Augusta II króla w czasie podobnych wojen z szwedami r. 1714 Działyńska wojewodzina chełmińska, żona Tomasza, zebrawszy do 6000 kurpiów, dzielny szwedowi stawiła opór.

W r. 1733, kiedy Stanisław Leszczyński obrany został Królem Polskim, Kurpiki wyświadczyli mu niemałe usługi—a i w 1809 roku w wojnie z Austryą przyczynili się oni do powiększenia hufców wojska polskiego i odparcia nieprzyjaciela.

Jestto zresztą lud bardzo łagodny i pełen cnót rodzinnych—mieszkania kurpiow są schludnie utrzymywane; dobra strzelba i torba myśliwska stanowią ich sprzęt ulubiony—Najmują się zwykle do kopania bursztynu, w który mianowicie okolica Ostrołęcka obfituje.

W języku ludu tego przebija się narzecze mazowieckie, nad którém góruje odcień miejscowy; mają nawet swe odrębne wyrazy, np. *zkiela*, oznacza zkąd; *kiziak*, znaczy źrebak; *białka*, żona; *łoni*, roku zeszłego; *snedka*, synowa, i t. podobne.

Kurpie w puszczy mieszkający nazywają się między sobą *puszczykami*, a nad rzekami, mianowicie Pisną, zowią *nadrzeczanami*.

Lud ten zresztą, jak cały szczep słowiański, ma wiele ducha poetycznego w sobie, ma swoje pieśni oddzielne, z których weselne mianowicie odznaczają się wesołością i dowcipem.

Sposób przyrządzenia kollodium.

W ostatnich czasach kollodium używane dotąd jedynie przy mniejszych operacyach chirurgicznych, nabrało większego znaczenia przez zastosowanie go do medycyny, oraz dagerotypów i fotografii; ostatecznie zaś jako środek, którego znakomitsi ogrodnicy angielscy i amerykańscy używać poczęli z pożytkiem przy oczkowaniu (okulizowaniu) i szczepieniu delikatnych drzew, krzewów, lub win, w miejsce dotychczas używanéj maści ogrodniczéj. Nieodrzeczy więc będzie, podać w niniejszem piśmie sposób jego przyrządzania, jaki uważany jest dotąd za najlepszy.

Zasadą do kollodium jest tak zwana bawełna strzelnicza, która przyrządza się jak następuje:

Do pewnéj ilości oczyszczonéj bawełny z wszelkich obcych części, przez doskonałe jéj wyczesanie, bierze się pod wagą 20 razy tyle miałko sproszkowanéj saletry i 30 razy tyle stężonego kwasu siarczanego. Saletran potażu, czyli saletra, zarabia się z kwasem siarczanym w porcelanowem naczyniu; do rozczynu tego wkłada się bawełna, wciera się, aż dobrze nasiąknie—wcieranie to uskuteczniać trzeba szklaną łyżeczką, lub takimże pręcikiem. Następnie wyjmuje się tak nasycona bawełna i myje się w miękkiéj wodzie bez wyżymania. Skoro się kwas wymyje, co się da poznać za pomocą lachmusowego papieru, (1) wtedy bawełna bierze się w

(1) Papier tak zwany *lachmusowy*, jest to papier napuszczony roztworem lachmusu, który się otrzymuje z porostku ziemskiego zwanego *lichen roccela*— papier taki użyty do próby, jeżeli nie poczerwienieje, daje przekonanie, iż się już kwas siarczany w bawełnie nie mieści.

czyste płótno i wyżyma się mocno z wilgoci, poczem rozkłada się wolno i suszy w umiarkowaném cieple np. w miernie ogrzanym piecu. Tak przyrządzona bawełna niełatwo wybucha i przy spaleni i kopci, a przytem jest bardzo rozpuszczalna w eterze, rozwiedzionym alkoholem.

Przy użyciu powyższych dwóch płynów, to jest eteru i alkoholu, z bawełny otrzymamy produkt zwany kollodium, który ostatecznie przyrządza się w ten sposób:

Żądaną ilość przyprawionéj bawełny nalewa się takąż ilością (na wagę) czystego alkoholu, oraz $15\frac{1}{2}$ razy większą ilością czystego eteru. Wszystko to razem zachowuje się w butelce starannie zakorkowanéj, i od czasu do czasu dobrze się kłóci, dopóki się bawełna w zupełności nie rozpuści i zawarty w niéj płyn nie nabierze pozoru syropu; wtedy kollodium zdatnym już jest do użycia.

Ponieważ płyn w tym stanie nie będzie zupełnie czystym, chcąc go więc użyć do dagerotypów lub fotografii, należy go przecedzić przez czyste płótno; do innych wszakże użytków kollodium niecedzone, jest właściwszem, gdyż w skutek przecedzenia traci znacznie na swéj sile.

Rozciek trzyma się w naczyniu szklanem, szczelnie zatkanem i jest bardzo lepki. Siła jego jest taka, iż kawałka płótna umoczonego w kollodium, przyłożonego do dłoni i wysuszonego, nie jest w stanie oderwać ciężar od 20 do 30 funtów.

Przy wyrabianiu kollodium potrzeba baczyć troskliwie, ażeby wody nie było w eterze i alkoholu, a nadto przedmioty, do których kollodium ma być użyte, powinny być wprzódy dobrze na sucho wytarte.

—

Przepis robienia trwałego kitu, czyli cementu do kitowania szpar w wyrobach metalowych, mianowicie zaś żelaznych.

Do 16tu łutów miałkich opiłek metalowych, z metalu, jaki właśnie spoić zamierzamy, dodaje się 2 łuty salmiaku i 1 łut siarki—to wszystko trze się doskonale w żelaznym moździerzu; tak przysposobiony proszek zachowuje się do użycia w miejscu suchem.

W razie potrzeby do 1éj części tego proszku dodaje się znów 20 części opiłek metalowych; i rozrabia się stosowną ilością wody, dla zarobienia materyału tego na gęste ciasto; wreszcie dosypuje się piasku, odchodzącego od kamieni używanych do ostrzenia, a osiadającego w rynience pod niemi.

Cement ten robić należy w moździerzu—nakłada się zaś w szpary i zczeliny za pomocą dłuta lub noża, wciskając go starannie i gładko. Wciśnięty pozostawia się w spokojności przez kilka dni, aby dobrze zeschł i przylgnął.

Śpiewka chłopaków Wilanowskich o słowiku.

Za domeczkiem ogród, w tym ogrodzie drzewa,
A wpośród drzew słowik Bogu piosnkę śpiewa;
Śpiewa on to śpiewa, ta mała ptaszyna,
Cośmy Bogu winni, słowik przypomina:
Przypomina słowik, abyśmy śpiewali,
I za wszystkie dary Bogu dziękowali.

Zdania i przypowieści.

1. Cnotliwa żona, matka, rządna gospodyni,
Męża, dzieci, domowych, szczęśliwemi czyni.
2. Zniewalać trzeba ludzi do cnoty,
Do złego i tak dosyć ochoty.
3. Więcéj tonie ludzi w kuflu, aniżeli w morzu.
4. Lepsze oko swoje, niźli cudzych dwoje.
5. Wiele słysz, mało mów, jeśli chcesz być był zdrów.
6. Szkodniéj trzewika niż nogi, mówi skąpy i ubogi.
7. Kto gardzi słowy prostemi,
Tego trzeba dębowemi.
8. Kto się nie dłuży, żywot swój przedłuży.
9. Kto nie umie być dobrym mężem, ojcem, sąsiadem i przyjacielem,
Ten też nigdy nie będzie dobrym obywatelem.
10. Chleb chociażby z solą, byle z dobrą wolą.
11. Co bardziéj dokuczy, to rychléj nauczy.
12. Dola z nami, czy niedola, to bądź Boże Twoja wola.
13. Jest li że na tem dosyć, że ciało ubrane,
Kiedy na miléj duszy wszystko odrapane.

W Drukarni J. Jaeger —Wolno drukować. Warszawa d. 17 (29) sierpnia 1857 r. — Starszy cenzor, F. Sobieszczański.